ROK VII
Nr. 2.

Styczeń 15

Opłata uiszczona ryczałtem
Cena 70 gr.



MŁODA MATKA



DWUTYGODNIK
POŚWIĘCONY
ZDROWIU
I WYCHOWANIU
DZIECKA DO LAT 7-MIU

Nie całować dzieci.

„Pojąć nie mogę, co się dzieje z moją Jadziunią. Tak ją przecież pielęgnuję, karmię piersią, na niczem jej nie zbywa. A ciocia Zosia przepada poprostu za nią, wciąż ją pieści, całuje, nosi, huśta, słowem dziecko ma zapewnione wszelkie wygody. Mimo to mizernieje coraz bardziej, waga jej nie przybywa, pobladła i coraz więcej kaszle". — Takie to skargi płyną z ust zaniepokojonej mamusi pięciomiesięcznej Jadziuni.

Wezwany lekarz powziął podejrzenie, że dziecko jest zakażone gruźlicą. Dalsza obserwacja podejrzenie to potwierdziła. Stan dziecka pogarsza się z dnia na dzień, grozi mu poważne niebezpieczeństwo, a może nawet śmierć.

Skąd to wszystko przyszło?

Po dokładniejszem zbadaniu sprawy okazało się, że to właśnie ciocia Zosia, która tak bezgranicznie kocha swą małą pupilkę, przyczyniła się do powstania tego nieszczęścia. Ciocia Zosia już od dłuższego czasu pokasłuje i jest chora na gruźlicę płuc, chociaż dobrze się naogół czuje i nie wiedziała o tem, aż do obecnej chwili. Pieszcząc i całując swą siostrzenicę, zakaziła ją gruźlicą.

Trzeba bowiem pamiętać, że chory na gruźlicę, gdy mówi, rozsiewa dokoła siebie zarazki, które znajdują się w jego ślinie. Powietrze jest wtedy przepełnione zarazkami gruźlicy mniej więcej na odległość jednego metra. Jeszcze dalej mogą znajdować się drobniutkie kropelki śliny, gdy chory kichnie lub zakaszle. Zrozumiałą jest rzeczą, że przy całowaniu dziecka istnieją jeszcze większe możliwości przeniesienia już nietylko mikroskopijnych, ale nawet widocznych gołem okiem kropelek plwociny.

A teraz inny obrazek. Mały Grześ rozwija się wspaniale: nigdy nie choruje, ciałko ma jędrne, opalone; leży uśmiechnięty spokojnie w swem łóżeczku i bawi się wkładaniem nóżki do buzi.

Ojciec go ubóstwia, codziennie po powrocie z biura huśta go, nosi, całuje. Nie przestał się bawić z malcem, gdy dostał kataru, poprostu nie zwracał na to uwagi. Dziecko zakaziło się od niego katarem. Od tej chwili maleństwo gorączkuje, kaszle, straciło zupełnie łaknienie, grymasi. Rodzice są przerażeni, bo Grześ im więdnie w oczach.

Ten zwykły, mało znaczący katar u dorosłych, jest dla niemowlęcia nieraz powodem ciężkiego cierpienia i to znowu tem niebezpieczniejszego, im dziecko jest młodsze. Katar nosa utrudnia dziecku ssanie piersi oraz oddychanie. Ale to jeszcze nic, gdyż często prowadzi do różnych powikłań jak schorzenia ucha środkowego lub zapalenie płuc.

Pierwszy obrazek na szczęście spotyka się niezbyt często w życiu, ale zato drugi jest niezmiernie częsty.

Ileż to więc nieraz krzywdy mogą wyrządzić bezwiednie różne ciocie, babcie, znajomi, a nawet i sami rodzice zbytnią czułością i całowaniem dziecka!

Czyż naprawdę inaczej nie można wyrazić miłości do dziecka, lecz trzeba je koniecznie całować i to w buzię? Każdy przecież łatwo znajdzie tysiąc innych sposobów okazania dziecku swego przywiązania i to bez szkody dla jego zdrowia.

A zatem: *nie całujmy niepotrzebnie dzieci, jeśli im dobrze życzymy i chcemy, by były zdrowe.*

Dr. P. Wójciak.

Czy matki nie zbyt rzadko korzystają z wagi?

W obecnych ciężkich czasach żyjemy z ołówkiem w ręku i musimy liczyć się z każdym groszem, aby zrównoważyć budżet domowy. Dlatego też nie na czasie, napozór, wydaje się nakłanianie matek do wydatku kilku złotych miesięcznie za posiadanie w domu pożyczonej wagi niemowlęcej.

Ale właśnie dlatego, że czasy są ciężkie i że musimy się liczyć z każdym groszem, trzeba wiedzieć, że ten kilkuzłotowy wydatek opłaca się, bo pozwala zapobiec daleko większym wydatkom na lekarza i lekarstwa, a przedewszystkiem pozwala nam na ciągłe kontrolowanie rozwoju fizycznego i zdrowia dziecka.

Organizm niemowlęcia w pierwszym roku życia bardzo szybko rośnie — wzrost ten wyraża się nietylko w zwiększaniu się długości ciała, ale i jego masy, przyczem wielkości te powinny wzrastać proporcjonalnie i równomiernie.

Długość ciała określi nam centymetr, a masę — waga.

Niemowlę zaraz po urodzeniu powinno ważyć mniej - więcej 3.500 gr., a długość jego powinna wynosić około 50 cm.

Przez pierwszych kilka dni po urodzeniu każde prawie niemowlę traci na wadze, wskutek zupełnie zmienionych warunków w jakich się znalazło, a więc wskutek wysychania, oddania zawartości przewodu pokarmowego i małej ilości pokarmu, jaką pierś matki wytwarza w pierwszych kilku dniach po porodzie. Ten spadek wagi może dochodzić do 10% wagi pierwotnej, jest on zjawiskiem normalnem i nie powinien nas niepokoić.

Po kilku dniach spadku waga zaczyna się podnosić i dziesięciodniowe niemowlę powinno ważyć przynajmniej tyle, ile ważyło zaraz po urodzeniu. Odtąd wzrost wagi u zdrowo rozwijającego się niemowlęcia jest ciągły i postępuje w ten sposób, że

w piątym miesiącu życia waga pierwotna powinna się podwoić, a z końcem roku potroić.

Im niemowlę młodsze, tem większy jest przyrost jego dziennej wagi, im starsze — tem przyrost jest mniejszy. Przeciętnie w I kwartale życia przybytek ten wynosi około 30 gr. dziennie, w II kwartale — około 20 gr., w III — około 15 gr., a w IV — około 10 gr. Nie wynika z tego, aby zdrowo rozwijające się dziecko trzeba było ważyć codziennie, wystarczy początkowo ważyć raz w tygodniu, potem co 2 tygodnie, wreszcie co miesiąc.

Prawidłowy przyrost wagi dziecka zależy od dwóch czynników: po pierwsze od zdrowia dziecka, po drugie od dostatecznego co do ilości i jakości odżywiania. O odżywianiu sztucznem nie będę tu mówił, gdyż rozszerzyłoby to zbytnio ramy tej pogadanki.

Zasadniczo każde niemowlę powinno być karmione piersią matki. Nie każda jednak pierś wytwarza dostateczną dla dziecka ilość pokarmu, w takim wypadku dziecko musi być dokarmiane sztucznie. Dla stwierdzenia ilości wyssanego pokarmu posługujemy się wagą w ten sposób, że ważymy dziecko przed podaniem piersi i drugi raz po nakarmieniu, — różnica wagi wskaże nam ilość wyssanego pokarmu.

Jeżeli niemowlę ważone co tydzień lub odpowiednio do wieku rzadziej, wykazuje dostateczny przyrost wagi, to nie potrzebujemy ilości wysysanego pokarmu sprawdzać; jeżeli zaś przyrost ten jest zbyt mały, a dziecko pozatem jest zdrowe, będzie to dowód, że trzeba dać mu więcej jeść albo ilościowo, albo jakościowo O tem co dać jeść i ile, powinien zdecydować lekarz, opiekujący się stale dzieckiem.

Dr. Z. Morawski.

Mleko skondensowane lub sproszkowane w odżywianiu niemowląt.

W Polsce niemowlęta, o ile są żywione sztucznie, lub przy dokarmianiu, otrzymują przeważnie zwykłe mleko krowie. W przemyśle (zagranicznym) wytwarza się jednak pewne rodzaje konserw mlecznych, które we Francji i Ameryce cieszą się dużem wzięciem jako pokarm niemowlęcy zastępujący mleko zwykłe. Ogólną zaletą konserw mlecznych ma być prostota i czystość przy przygotowywaniu mieszanki niemowlęcej, a także pewność, że podajemy mleko o ściśle określonej jakości i nie zawierające szkodliwych zarazków.

Istnieją dwa rodzaje konserw mlecznych: mleko skondensowane słodzone i konserwa mleczna sucha, nie słodzona, w postaci proszku. Jeden i drugi rodzaj nadaje się do podawania niemowlęciu.

Oba rodzaje konserw mlecznych znajdują się w handlu w puszkach blaszanych, hermetycznie zamknię-

tych. Mleko skondensowane, słodzone, przedstawia się w postaci białawej, gęstej cieczy, o spoistości miodu i wybitnie słodkim smaku, gdyż zawiera dodatek 10% zwykłego cukru Po rozcieńczeniu odpowiednią ilością wody powstaje płyn o wyglądzie mleka, o smaku słodkawym i nieco odmiennym, niż zwykłe mleko. Mleko skondensowane fabrykuje się ze zwykłego, świeżego i dobrego mleka przez uprzednie ogrzanie do t.° 70—80° celem częściowego wyjałowienia, dodatek 10% cukru i zagęszczenie przez częściowe wyparowanie w próżni.

A więc mleko skondensowane nie jest sterylizowane ani gotowane; nie ulega zaś zepsuciu w puszkach głównie wskutek przecukrzenia. Po otwarciu puszki nie powinno być przechowywane, lecz użyte w ciągu jednej doby. Nie będąc sterylizowane, mleko to zachowuje częściowo swe witaminy, które mogą jednak przy dłuższem przechowywaniu puszek ulec zniszczeniu. Wynika stąd, że nie należy używać puszek, które całemi latami przechowywały się na półkach sklepowych.

Dla przygotowania z mleka skondensowanego mieszanek niemowlęcych, należy pamiętać, że skład odpowiadający zwykłemu mleku otrzymujemy rozcieńczając konserwę gorącą wodą w stosunku 1 części do 4-ch części wody. 200 grm. mleka skondensowanego odpowiada litrowi mleka zwykłego. Przy podawaniu niemowlęciu podlega zazwyczaj dalszemu rozcieńczeniu. Słodzić dodatkowo tej mieszanki nie potrzeba.

Konserwa mleczna sproszkowana jest to mleko krowie zwykłe, nie słodzone dodatkowo (czasami uprzednio odtłuszczone) i całkowicie pozbawione swej wody; otrzymuje się przez wyparowanie w próżni mleka rozpylonego w postaci drobnej mgły, lub przez rozpylenie mleka na obracające się, ogrzane walce. Przy rozcieńczeniu odpowiednią ilością ciepłej wody powstaje znowu mleko nie różniące się prawie smakiem od mleka zwykłego. W handlu znajduje się konserwa sproszkowana nieodtłuszczona,



częściowo odtłuszczona i odtłuszczona. Niemowlętom podaje się zwykle mleko częściowo odtłuszczone, gdyż nadmiar tłuszczu w tej konserwie może ulegać zjełczeniu. Mleko sproszkowane również nie jest mlekiem wyjałowionem, lecz przechowuje się długo, nie ulegając zepsuciu dzięki brakowi wody. Niektóre rodzaje mleka sproszkowanego bywają ocukrzone. Mleko to również zachowuje część swych witamin i również traci na swej wartości przy dłuższem przechowywaniu; po otwarciu puszki powinno

być szczelnie zamknięte i chronione od wilgoci.

Przy stosowaniu konserwy mlecznej sproszkowanej trzeba pamiętać, że: 150 grm. proszku mlecznego odpowiada litrowi mleka zwykłego, czyli że rozcieńczając 15 grm. proszku w 100 grm. ciepłej wody, otrzymujemy płyn zbliżony wartościowo do mleka naturalnego. Łyżka stołowa proszku, zrównana po brzegi, zawiera ok. 5 grm.



Po tych uwagach ogólnych musimy zastanowić się, czy należy wogóle konserwy mleczne stosować w naszych warunkach u niemowląt, a jeżeli tak, to kiedy i dlaczego.

Zarówno mleko skondensowane, jak i sproszkowane, pochodzące od dobrych firm (np. znane u nas Glaxo, lub Dryco), są produktami, w zupełności nadającemi się do zastępowania w odżywianiu niemowlęcem zwykłego mleka. Niemowlęta znoszą mleko konserwowane dobrze i wykazują zupełnie normalny rozwój, przy zachowaniu pewnych ostrożności (dodatek witamin) i dokładnem przestrzeganiu odpowiednich dawek i rozcieńczenia na podstawie wskazówek lekarza w każdym poszczególnym przypadku.

Jednak w zwykłych domowych warunkach naszych niema potrzeby uciekania się do konserw mlecznych, gdyż w większości przypadków możemy otrzymywać dobre i pewne mleko zwykłe. Zastosowanie konserw mlecznych u nas może mieć miejsce głównie w dwóch przypadkach:

1) W miejscowościach, gdzie nie możemy otrzymać dobrego mleka krowiego, lub zachodzi obawa, że możemy dać dziecku mleko zanieczyszczone lub zepsute; w czasie podróży, przy wyjazdach z dzieckiem, w czasie letnich upałów, przy braku urządzeń dla przechowywania mleka na lodzie lub przy braku odpowiednich warunków dla przygotowania w sposób czysty i przepisowy mieszanek mlecznych w domu i t. p. W tych okolicznościach szczególnych mleko konserwowane może oddać rzeczywiście nieocenione usługi, zabezpieczając niemowlę przed możliwością choroby kiszkowej z zakażenia mlekiem zepsutem. Przygotowanie bowiem mleka z konserw da się uskutecznić łatwo, szybko i czysto na każdem miejscu i nie wymaga specjalnych naczyń.

2) W przypadkach, gdy dziecko nie znosi mleka krowiego naturalnego. może czasami dobrze znosić mleko konserwowane, a także w przypadkach niektórych chorób niemowlę-

cych, gdy musimy stosować mleko b. słodkie (przecukrzone), bądź wogóle pokarm zagęszczony. Mleko w konserwie ułatwia znacznie to zadanie, gdyż przy mniejszem rozcieńczeniu wodą pozwala na otrzymanie dowolnego zagęszczenia płynu. Czasami mleko konserwowane może dobrze nadawać się jako wygodne dokarmianie dziecka żywionego piersią (przy względnym braku pokarmu).

Na zakończenie muszę przypomnieć, że niektóre mączki fabryczne, jak np. mączka Nestle'a, zawiera prócz mąki także pewną część mleka sproszkowanego, a więc częściowo może zastępować mieszanki mleczne przy t. zw. dokarmianiu. Natomiast wyłącznie żywienie dziecka mączkami bez podawania w innej postaci mleka jest niewystarczające i nie może zastąpić istotnej konserwy mlecznej.

Dr. Jerzy Wiszniewski.



Podsłuchane rozmowy.

Ulicą kroczą 3 młode panie i o czemś żywo rozmawiają. Gdy zrównały się z wystawą sklepową, którą oglądałem, i przystanęły, dalszy ciąg rozmowy mimowoli podsłuchałem.

„Jak tam Wandeczka, czy już chodzi?". „A jak zdrowie Jurka?". „A Heniuś czy już przestał kaszlać?" — rzucają sobie nawzajem pytania młode matki.

„Wandeczka ma obecnie 15 miesięcy, a chodzi już od dwóch miesięcy. Nie chodzi, a biega, ba, nawet już tańczy. A jak ona lubi muzykę gramofonową! Smieję się często do męża, że oddamy ją chyba do szkoły baletu, bo takie zdradza skłonności do tańca" — mówiła matka Wandeczki.

„A mój Jureczek ma silny katar, więc dziś nie wzięłam go na spacer, zwłaszcza, że powietrze dziś trochę wilgotne".

„Mój Henryczek jeszcze nie chodzi o własnych siłach, ma przecież dopiero 11 miesięcy, więc z chodzeniem nie opóźnił się; chłopcy podobno zaczynają chodzić później o miesiąc — dwa, niż dziewczęta. To też z tego powodu nie martwię się. Niepokoi mnie tylko jego kaszel, który już trwa około dwóch tygodni. Robię wszystko, co mi tylko kto poradzi, a więc: stawiam często bańki, smaruję, kupuję ulepki z apteki, daję kwiat lipowy, miód i wszystko bez skutku. Udałam się do lekarza Kasy Chorych. Ten zaś, zobaczywszy, że Heniuś jest trochę brudny, kazał mi go wykąpać".

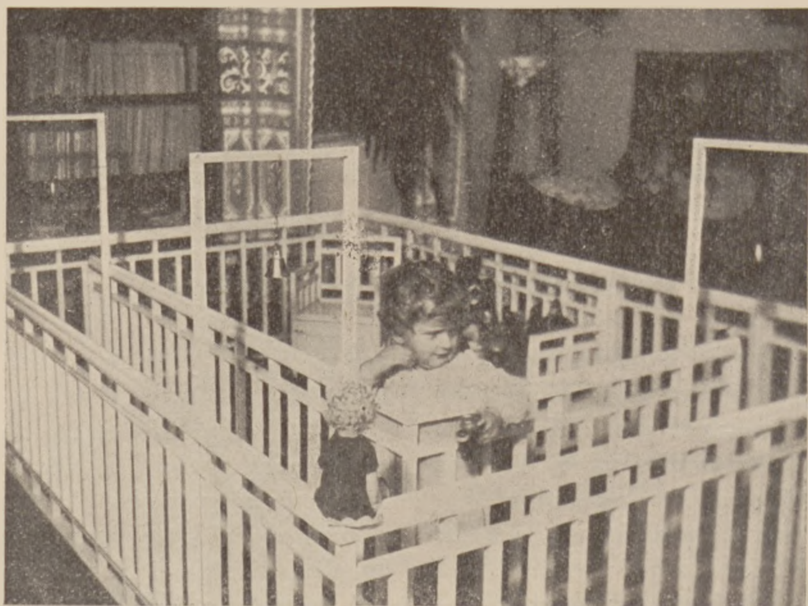
„Co?" — przerwała z oburzeniem matka Jurka. — „Dziecko kaszle, a on

zaleca kąpiel; ja doradziłabym takiemu lekarzowi, żeby..." Końca zdania mamusi Jurka nie mam chęci przytaczać.

„To też ja" — mówi matka Heniusia — „nie zastosowałam się do rady tego lekarza, nie słuchałam jego dalszych pouczeń, jak należy tę kąpiel wykonać, nie dawałam nawet dziecku przez niego zapisanego lekarstwa. Bo czyż mogę mieć zaufanie do lekarza, który doradza mi wykąpać brudne wprawdzie dziecko, ale przecież kaszlące. Toć ono więcej przeziębi mi się i będzie więcej kaszlać, albo, czego nie daj Boże, dostałoby zapalenia płuc".

„Ma pani rację" — mówi matka Jurka.

„A ja nie zgadzam się z paniami na punkcie tego strachu wobec kąpieli" — rzekła mamusia Wandeczki — „powiem otwarcie, że panie jesteście na błędnej drodze. Przyznaję się zresztą do tego, że tej błędnej imaginacji, że dziecko łatwo przeziębia się podczas kąpieli, i ja długo ulegałam, ale przypadek otworzył mi oczy. Starszy mój synek, dziś już trzyletni Maniuś, przechodził przed rokiem odrę. Ponieważ nie kąpałam go na tydzień przed wysypką odrową, bo był zakatarzony, a potem 4 dni po wysypce, więc skóra jego po częstych smarowaniach i ciągłem poceniu się była dość brudna i swędząca, bo często dziecko drapało się. Taki stan skóry odbierał dziecku apetyt, sen i humor.



Zwróciłam się wtedy do swego domowego lekarza z pytaniem, czy mogę Maniusia wykąpać. Spodziewałam się kategorycznego sprzeciwu. Tymczasem lekarz ten z naciskiem powia-

da: „Ależ naturalnie, niech go pani wykąpie".

„No i cóż wykąpała pani?" — zapytały ze zdumieniem prawie jednocześnie obie młode matki.

„Zrobiłam to w wielkiej tajemnicy przed sąsiadkami i przed własnym mężem, bo wiedziałam, jaki jest ogólny nastrój przeciwkąpielowy jeżeli dziecko ma katar lub kaszel, a szczególnie podczas odry. Nie bez obawy oczekiwałam, co będzie dalej, ale obawa szybko minęła, bo Maniusiowi poprawił się znacznie humor, apetyt a nawet mniej kaszlał".

„Chyba pani coś dodała do kąpieli"? — zapytała matka Heniusia.

„Nic nie dodawałam; wykąpałam tylko w czystej wodzie, ogrzanej do t.° 37°; po uprzedniem namydleniu dziecka zanurzyłam je do wody na kilka minut i po zmyciu mydła zawinęłam je, w zawczasu przygotowane, prześcieradło, okrywając przytem kołderką. Po kilkunastu minutach dziecko było doskonale wysuszone, usunęłam więc prześcieradełko i nałożyłam koszulkę".

„Zaryzykuję i wykąpię swego malca" — rzekła matka Heniusia.

„Jeżeli pani Heniusiowi nic się po kąpieli nie stanie, to i ja będę Jurka częściej kąpać, nie zważając na katar lub kaszel. Bo ileż razy nie kąpie się dziecka całemi tygodniami, bo jest zakatarzony lub ma kaszel".

„My dorośli" — wtrąciła mamusia Wandeczki — „wiemy jak każda kąpiel nas odświeża, orzeźwia, uspakaja nasze nerwy, jaką sprawia nam przyjemność, dlaczego mamy odmawiać tej przyjemności naszym dzieciom.

Przekonałam się na swych dzieciach, że kąpiel nie wywołuje ani też nasila kaszlu lub kataru, o ile tę kąpiel wykonamy umiejętnie. To też swoje dzieci kąpię tak często, jak tego wymaga konieczność utrzymania skóry w czystości".

Na tem przerwano ten ciekawy dla mnie temat, inne omawiane przez młode matki sprawy mniej mnie interesowały. Pomyślałem sobie, że takich rozsądnych matek, jak mamusia Wandeczki, jest jeszcze w naszem społeczeństwie niezbyt liczna gorstka, ale garstka ta nie maleje a wzrasta razem z postępem i wzrostem poziomu kulturalnego szerszych warstw społecznych, a tym samym podnosi się zdrowotność i higjena dziecka.

S. S.

Dbając o czystość dziecka, chronisz je od wielu chorób.

Bertrand Russel o wychowaniu dzieci.

V. Przedszkole i jego rola w życiu dziecka.

Ileż to razy spotkałam się z gorącym protestem matek, gdy namawiałam je, by oddały dziecko do przedszkola!

Nieraz, coprawda, nieposyłanie dziecka do przedszkola jest poprostu rezultatem niedbalstwa i opieszałości matki, jej nieporadności życiowej.

Lecz często spotykam się z protestem właśnie ze strony tych matek. które chciały wychować dziecko jak najlepiej; by móc zająć się dzieckiem w domu, musiały one poświęcać wiele drogocennego dla siebie czasu, składać ofiarę ze swych zamiłowań naukowych czy artystycznych, ze swych rozrywek.

Nieraz, gdy chodziło o dziecko z tak zwanego „dobrego domu", spotkałam się wprost z oburzeniem i obrazą: „Jak można mi wogóle proponować coś podobnego! Wypędzać dziecko z domu i posyłać je do przedszkola! A gdzie mu wogóle może być lepiej, niż w domu!"

Zdradzę tu czytelniczkom mój „sekret osobisty"! Miałam właśnie szczęście pochodzić z „dobrego" i bogatego domu i dlatego nie było mi sądzonem spędzić bodaj dzień jeden w przedszkolu. Mam o to dotychczas wielki żal do losu. Napewno, wiele trudności w późniejszem życiu, w obcowaniu z ludźmi, udałoby mi się uniknąć, gdybym przebyła dzieciństwo nie w otoczeniu dorosłych, zresztą pierwszorzędnych i „najdroższych" bon cudzoziemek, lecz w dobrem przedszkolu, wśród rówieśników. Przeświadczenie to jest we mnie tak silne i żal za niezaznaną w gronie koleżeńskiem radością dzieciństwa tak wielki, że, przyznaję, patrzę zawsze z zazdrością na dzieci rozbawione i pogodne, „jak kwiaty", w atmosferze dobrego i mądrego przedszkola. Jestem też bardzo gorącą agitatorką na korzyść przedszkola. Ciekawe, że Russell mówi o podobnych skutkach i nastrojach swego samotnego dzieciństwa.

„Możliwe jest, oczywiście, wychowywać dziecko tak, jak wychowywany był John Stuart Mill [1]), to jest nie dać mu nigdy zaznać normalnych dziecinnych rozrywek. Ja sam wychowywałem się samotnie, aż do szesnastego roku życia — i chociaż samotność moja nie była tak zupełna jak Milla, jednak za bardzo pozbawiała mnie zwykłych uciech młodości. Gdy byłem młodzieńcem, przeżywałem ten sam nastrój samobójczy, jaki opisuje Mill. A gdy zacząłem przebywać z rówieśnikami, stwierdziłem, że jestem nieprzystępnym zarozumialcem".

---

[1]) John Stuart Mill — znany pisarz angielski.

To też Russell jest gorącym propagatorem przedszkola.

Argumenty — mówi on — *przemawiające za przedszkolem, są zupełnie nie do odparcia, i to* nietylko dla dzieci, których rodzice są biedni, niewykształceni czy przepracowani, ale *dla wszystkich dzieci wogóle.* Wierzę, twierdzi Russell, że, naprzykład, *w przedszkolu* pani M. M. Millan [2]) *dzieciom jest jeszcze lepiej, niż może być w domu nawet najzamożniejszych rodziców.*

Jak uzasadnia Russell ten swój pogląd?

Wczesne dzieciństwo jest niezmiernie ważne zarówno pod względem lekarskim jak i kształtowania się całej przyszłej osobowości dziecka. Owe dwa względy splatają się bardzo ściśle ze sobą; na skutek naprzykład, strachu dziecko źle oddycha, a to czyni je podatnem do licznych chorób. Wzajemne oddziaływanie jest tu tak częste, że nikt nie może wpływać skutecznie na kształtowanie się charakteru dziecka, nie mając żadnej wiedzy lekarskiej, ani też dbać o jego zdrowie — bez wszelkiej wiedzy o rozwoju duszy dziecka. *Wiedza, potrzebna w obu tych dziedzinach, jest przeważnie zdobyczą bardzo niedawnych czasów. Nie można oczekiwać, że rodzice będą posiadali wprawę i wolny czas, potrzebne do nowej i trudnej sztuki postępowania z małemi dziećmi.*

Jeśli chodzi o rodziców niewykształconych, jest to oczywiste: nie znają oni właściwych metod, a nawet gdyby je znali, to metody te nie zdołałyby ich przekonać.

Ale nawet dzieci rodziców bardzo wykształconych, sumiennych i niezbyt zajętych, nie mogą mieć w domu wszystkiego, czego im potrzeba, *w takim zakresie jak w przedszkolu.* Przedewszystkiem i nadewszystko nie mogą mieć towarzystwa innych dzieci w tym samym wieku. Przytem, jeśli rodzina jest mała — a taką jest zwykle rodzina tego rodzaju — dzieciom poświęca się często zbyt wiele uwagi ze strony dorosłych, na skutek czego stają się nieraz kapryśne i przedwcześnie rozwinięte. Co więcej — rodzice nie mogą tu mieć tak pewnej ręki, jaką daje wieloletnie doświadczenie w przedszkolu z wieloma dziećmi.

Należy sobie uświadomić, że *właściwa opieka nad małemi dziećmi jest pracą, wymagającą wysokich kwalifikacyj; że rodzice nie mogą mieć nadziei wykonywania jej w sposób zadawalający, i że jest to praca zupełnie odmienna od nauczania w szkole w latach późniejszych.* Trzeba tu *czegoś więcej,* niż miłości rodzicielskiej i „rodzicielskiej odpowiedzialności". Zbankrutowały reguły, wypływające *jedynie* z matczynego instynktu; zbankrutowała „miłość rodzicielska", *pozbawiona wiedzy.* Ale potrzeba społeczna żywienia i chowania dziecka nie zbankrutowała jako taka; przeciwnie, jest ona odczuwaną obecnie silniej, niż kiedykolwiek; wymaga ona jednak naprawdę dużych a zupełnie specjalnych kwalifikacyj.

Nawet wówczas, gdy rodzice są

[2]) Znana kierowniczka przedszkola dla dzieci najbiedniejszych w Anglji i autorka prac naukowych o przedszkolu.

ludźmi tak bogatymi, że mogą sobie pozwolić na tyle miejsca i takie otoczenie, jakie jest najodpowiedniejsze dla małego dziecka, to i wówczas fakt, że rzeczy te są prywatną własnością jednej rodziny, budzi w dzieciach pychę i poczucie wyższości, co jest niezmiernie szkodliwe dla rozwoju charakteru dziecka.

Z tych wszystkich powodów nawet najlepsi i najbogatsi rodzice zrobią dobrze — twierdzi Russell — *gdy poślą swe dzieci, począwszy od drugiego roku życia, do odpowiedniego przedszkola,* przynajmniej na część dnia, o ile przedszkole takie istnieje w sąsiedztwie.

Dla dzieci zaś rodziców niezamożnych, dobre przedszkole, to bez przesady „raj na ziemi". Oto, jak nam autor przedstawia rezultaty pobytu najbiedniejszych dzieciaków w przedszkolu [1]).

Nie bacząc na to, że dzieci spędzają w przedszkolu tylko szereg godzin w dni powszednie, a noce i niedziele muszą przebywać w dotkniętych nędzą domach, może w piwnicach, wraz z pijanymi rodzicami, — ich stan fizyczny i inteligencja osiągają poziom, jaki dziecko klasy średniej osiągnąć może tylko w najlepszym razie. Prawie wszystkie dzieci, kończące jako siedmiolatki przedszkole, są wysokie i trzymają się prosto. W każdym razie, wszystkie trzymają się prosto, jeżeli nawet nie są wysokie; przeciętnie dziecko jest jednak duże i dobrze zbudowane; ma gładką cerę, żywe oczy i jedwabiste włosy. Jest ono nieco ponad przeciętnym poziomem najlepszego typu dziecka z wyższych, zamożnych warstw klasy średniej. Tyle o stanie fizycznym.

Umysłowo jest ono bystre, towarzyskie, żądne życia i nowych doświadczeń. Umie czytać i nie robi wcale lub prawie wcale błędów ortograficznych. Pisze wogóle dobrze i łatwo wyraża swe myśli. Mówi dobrą angielszczyzną; mówi też po francusku. Nietylko potrafi samo sobie dać radę, ale pomagało już przez całe lata młodszym dzieciom. Umie liczyć, mierzyć, i rysować, ma pewne przygotowanie do nauk ścisłych. Pierwsze swe lata spędziło w atmosferze miłości, spokoju i zabawnych atrakcyj, ostatnie zaś dwa lata pełne były zajmujących doświadczeń. Zna się na ogrodzie, sadziło, podlewało i opiekowało się roślinami i zwierzętami. Siedmioletnie dziecko umie także tańczyć śpiewać i bawić się w przeróżne gry.

Gdyby przedszkole — twierdzi Russell — stało się instytucją powszechną, mogłoby ono w ciągu jednego pokolenia usunąć głębokie różnice w wychowaniu, jakie obecnie dzielą klasy społeczne; mogłoby wytworzyć warunki, w których wszyscy uczestniczyliby w rozwoju duchowym i fizycznym, dostępnym obecnie tylko dla najbardziej uprzewilejowanych, mogłoby usunąć straszliwe jarzmo chorób, głupoty i złej woli, które obecnie czyni postęp tak trudnym.

Janina Ryngmanowa.

[1]) Russell powołuje się tu, oczywiście, na znane przedszkole *angielskie* (pani M. M. Millan w Deptford). Ale podobne rezultaty otrzymujemy i w innych krajach, w dobrych i mądrze prowadzonych przedszkolach.

Sędzia domowy.

Obowiązki macierzyńskie zmuszają kobietę do występowania w całym szeregu ról w stosunku do własnych dzieci. Matka jest nietylko nauczycielką, sanitarjuszką i felczerką, jest szwaczką, która nie wypuszcza igły z ręki, kucharką, która najlepiej umie dogodzić, praczką, która potrafi prać o każdej porze dnia i nocy.

Często matka jest sędzią.

Różnie bywa z tem sędziowaniem Czasem jest sędzią sprawiedliwym, wyrozumiałym i spokojnym — ale potrafi często być sędzią gwałtownym, nad miarę surowym, niesprawiedliwym. Potrafi wydać osąd szybko, bez zastanowienia, pod pierwszem wrażeniem. Ba! jakże często wyrok uzależniony jest od chwilowego nastroju matki.

A przecież matka jest sędzią bezapelacyjnym. Od wyroku jej dziecko nie ma już do kogo się odwołać. Biada mu — jeżeli zrobi jakiekolwiek posunięcie w tym kierunku — jeżeli zechce gdzieś poza matką szukać dla siebie instytucji odwoławczej.

„Na własną matkę będziesz się skarżyć!"

To brzmi tak strasznie, jak oskarżenie o wyrodność uczuć. Bezmała!

„Mama tak orzekła, mama tak osądziła".

Cały świat zajmie miejsce po stronie matki — nigdy po stronie dziecka, bo tak dyktuje poczucie „taktu", poczucie „pedagogicznego postępowania" względem dziecka. Bo taka jest „zmowa starszych".

Sąd matki jest nie tylko bezapelacyjny — sąd ten wydaje zazwyczaj wyrok nieumotywowany. Tak jest i koniec!

Jeżeli dziecko zapyta „dlaczego", to najczęściej zostaje skarcone. Popularnie to się nazywa, że dziecko się „stawia". Bo dookoła każdego osądu matki stwarza się atmosferę nieomylności.

A zatem: nieomylność i bezapelacyjność.

To wszystko ma nawet swoją konstrukcję prawno-logiczną. Przecież wyrok nieomylny nie może podlegać apelacji.

I znowu wracamy do refleksji, która się nam sama narzuca: zmowa starszych.

W tej atmosferze kształtuje się w dziecku poczucie „sprawiedliwości".

Może... kto wie... może właśnie dlatego jest tyle niesprawiedliwości na świecie! Może, między innemi i dlatego?

* * *

Ze wszystkich rozlicznych spraw które pod osąd matki, jako sędziego domowego podpadają — chciałabym omówić na tem miejscu jedną tylko grupę spraw. Chcę omówić rolę matki jako sędziego rozjemczego, wydającego wyroki w sprawach kłótni między rodzeństwem.

„Mamo, a bo Janek"... „Mamo, bo ten Tolek". „Mamo, Marysia ciągle wyrywa mi z ręki ołówek". „Gieniek znowu uderzył mnie w oko! Mamo, Mamo!"

To nie są żadne „donosy" czy skargi z typu „skarżypyta bez kopyta" — to są tarcia nieraz gwałtowne i groźne, czasem bolesne i trudne do rozwikłania — tarcia różnych usposobień, indywidualności, charakterów. Dzieci współżyjące z sobą (o! jakież współżycie ludzkie jest tak bliskie, tak zazębiające się z sobą jak współżycie dzieci!) nie mogą — nie są w stanie żyć bez kłótni.

Pokażcie mi rodzeństwo, które nigdy nie kłóciło się między sobą, to byłyby ciekawe do obejrzenia typy patologiczne.

Im bliższe jest współżycie matki z dziećmi — tem częściej matka wzywana jest na sędziego.

Pierwszym krokiem w kierunku rozumnego uregulowania tych spraw jest ograniczenie ich napływu. Tylko nie typowem wstydzeniem — „znowu się skarżysz na brata", — ale konsekwentnem wytwarzaniem przeświadczenia w dziecku, że do matki należy się zwracać jedynie w poważniejszych sprawach.

„To taki drobiazg — pogódźcie się sami, — sami sobie wydajcie sprawiedliwy wyrok".

A więc eliminujmy sprawy mniejszej wagi. O ile oczywiście nie wyczujemy, że wisi w powietrzu zwiastun większej burzy, którą rozpoczyna pozornie mały incydent.

Burzę między dziećmi zawsze lepiej zażegnać na samym jej początku.

Matki nie uznają zazwyczaj ekonomji własnych sił. Ekspansują je szeroko i lekkomyślnie na drobiazgi, wytwarzając w sobie samych przeświadczenie, że w tem rozrzutnem szafowaniu zamyka się jakaś specjalna cnota macierzyńska. Wyczerpane i zmęczone popełniają błędy, czując je doskonale.

„Wiem, że postąpiłam źle, niesprawiedliwie — ale już poprostu nie mam sił".

Wybiera się więc drogę nie sprawiedliwości, ale drogę najmniejszego oporu.

Jaki stąd rezultat.

Ofiarą sądów rozjemczych pada dziecko łatwiejsze do poskromienia. Jeżeli z dwojga dzieci Adaś będzie się stawiał, nie będzie matki słuchał, będzie dalej robił awantury, a Loluś przyjmie wyrok łatwiej, potulniej — to wyrok swoim ciężarem spadnie właśnie na Lolusia.

Bo tak jest prędzej, krócej i sprawniej.

Kłótnia jest zażegnana.

A jak to się załamuje, jak to się utrwala w duszach dzieci?

To chyba nie wymaga omówień.

Tego rodzaju „ułatwienia" w sędziowaniu matki spotykamy zwłaszcza w kłótniach między rodzeństwem

starszem i młodszem, między któremi jest spora różnica lat. Obserwowałam 3 - letnią dziewczynkę i 7 - letniego chłopca. Ona czupurna, gwałtowna, ma zadatki na egoistkę. Ma głos donośny i umie głośno płakać. Ten głośny płacz jest świadomie używaną presją w stosunku do całego otoczenia. Chłopiec flegmatyk, spokojny, łagodny, trochę melancholijny. Dziecko nerwowe i wrażliwe.

Rozpoczyna się kłótnia o zabawkę Matka idzie po linji najmniejszego oporu — poprostu nie chce prowokować krzyku małej. Wyrok zapada. Zabawka z rąk flegmatycznego chłopca wędruje do rąk czupurnej złośnicy I to nie raz. Tak jest prawie zawsze. Czasem tylko na osłodę dodaje się do wyroku wyjaśnienie: „Jesteś starszy — ustąp młodszej siostrzyczce".

To odwoływanie się do wieku dzieci jest również mocno nadużywanym argumentem. Nie szafujmy nim tak pochopnie. To nie przynosi żadnych korzyści moralnych naszym dzieciom Wręcz przeciwnie. Psuje i utrudnia stosunki między rodzeństwem. Bo przecież można młodszej siostrze lub młodszemu bratu pomóc, można się zaopiekować, można obronić, ale nie można w każdej spornej kwestji ustępować.

Poddajmy w naszych wyrokach sędziowskich ostrej rewizji ten nadużywany argument: „jest starszy, jesteś starsza". Nie ferujmy wyroków w kłótniach między dziećmi lekkomyślnie, nie kierujmy się nigdy względami natury ubocznej, a więc wiekiem, stanem zdrowia („ona jest o tyle wątlejsza od ciebie") — bo nadużywanie tych względów nie daje dobrych rezultatów. A już zwłaszcza nie sądźmy nigdy pod znakiem „dla świętego spokoju".

Jeżeli nie mamy czasu, nie mamy dość zrównoważonego umysłu lub nerwów w danej chwili — to raczej uchylmy się od wydania wyroku. Postawmy sprawę jasno i rzetelnie. Bądźmy w stosunku do naszych dzieci w porządku.

Nie „markujmy" sprawiedliwości. Nie szafujmy wyrokami na prawo i na lewo, bez głębszego zastanowienia, korzystając z przywileju, że sąd matki nad dzieckiem jest sądem bezapelacyjnym i że nikt nie ma prawa przyjść, skontrolować nas i naszą lekkomyślność naprawić.

Wanda Pełczyńska.



Spuścizna.

W 70 rocznicę powstania styczniowego.

Nigdy nie słyszałam w domu słowa *Ojczyzna.* Nie mówiono u nas także, że *na „Jej ołtarzu życie złożyć należy“*, że to *„święty obowiązek“*. Nie używano słów, zwrotów, frazesów. I słowa *„patrjotyzm“*, *„patrjotyczny“* też u nas nie wymawiano nigdy.

Czasy mojego dzieciństwa były inne, niż obecne. Ale zato pamiętam przemycanego przez granicę posrebrzanego orzełka, szpilkę do krawata. Z jaką niebywałą czcią był oglądany! Albo co to była za radość, kiedy brat cioteczny przywiózł z Krakowa portmoneteczki z maleńkim potrójnym herbem Polski.

Pamiętam jak czasem przyjeżdżał ze wsi p. Paulin Smoleński, kolega ojca z ławy szkolnej i powstaniec. Jeszcze teraz widzę, jak obaj chodzą po saloniku i zawzięcie rozmawiają. Padają urywane słowa z tak częstem: „Pamiętasz, Władek?“ „Pamiętasz Paulin?“ Mówili o sprawach niezbyt wtedy dalekich. Powstanie nie było „Styczniowe“, było krótko „Powstaniem“. W 1831 r. była „Rewolucja“, coś zupełnie innego.

Na każde święta uroczyste, imieniny, czy też latem jeździło się do przyjaciół pod Warszawę. Wracaliśmy zwykle późnym wieczorem. Dziatwa senna, nabiegana.

Pamiętam do dziś pola grochowskie i te zimne powiewy od Wisły. Mijaliśmy pomnik przy szosie. Ojciec nucił zcicha: „Ostrołęckie pomną pola, Grochów przypomina, żeśmy się bronili dzielnie, bo śmierć milsza, niż niewola dla Wawelu Syna“.

Nie mówiono u nas *o ofierze, o poświęceniu.* Wspominano wypadki zwykłe, takie codzienne z życia żołnierskiego.

Najlepiej pamiętam opowieści o prosiaku i rosole, bo słyszałam je nieraz, kiedy któreś z dzieci, nie chciało jeść jakiejś potrawy. A było to tak·

Partja powstańców rozeszła się po chałupach. Chcieli wypocząć, posilić się. Zaczęło się pieczenie, gotowanie. Wtem alarm — Moskale we wsi! Jazda do koni. Pan Paulin porwał z ogniska zaledwie letniego prosiaka i włożył go pod siodło. Moskale ścigali partyzantów bardzo długo. Wreszcie — zbawczy koniec. Wypoczynek. Pan Paulin do prosiaka, który po tylu godzinach w szalony upał, rozgrzał się, przemacerował pod siodłem i przesiąknął do szczętu końskim potem. Ale pan Paulin, nieludzko głodny, rwał zębami to surowe mięso. Akurat nadszedł ojciec mój. Dostał łopatkę prosiakową.

Innym znów razem piechota znalazła się na postoju znacznie wcześniej od konnicy. Właśnie niósł ojciec spory kociołek gorącego rosołu, kiedy

nadjechał zgłodniały pan Paulin. Podzielili się. Z rozrzewnieniem zawsze wspominali te fakty.

My, dzieci, słuchałyśmy tych i podobnych wypadków, ciężkich do przeżycia, opowiadanych z rzewnością i śmiechem naprzemian. Było to takie naturalne dla nich, że poszli, że znosili poniewierkę na emigracji, że ich, wynędzniałych obdartusów, najbliżsi krewni wstydzili się do domu wpuścić...

Wszystko to było konieczne, proste, bez patosu. Wsiąkało też w nas i rozumieliśmy bez słów, że w podobnych chwilach i potrzebie iść trzeba. Czekaliśmy. Kiedyż sprawiedliwości dziejowej stanie się zadość? Czuliśmy wciąż ten niedosyt... i myślę, że jeśli patrjotyzm to siła, to potęga, to ogień, który się oddaje z serca, z pokolenia do pokolenia, to oddali oni pochodnię gorejącą mnie i memu rodzeństwu.

Cześć Im i chwała za to!

I rozumiem, czuję głęboko, że patrjotyzmu nauczyć nie można, ale dziecko wychować można w domu o nastroju patrjotycznym, w otoczeniu patrjotów; Ojczyzny kochać nie będzie dziecko ludzi, widzących tylko wyłącznie zło i jedynie zło we wszystkich poczynaniach dzisiejszej Polski.

J. G.

Nasze rozmowy na spacerze.

DRZEWA IGLASTE.

Dziś pójdziemy boczną alejką wgłąb parku, tam gdzie rośnie kępa wysokich drzew zielonych nawet teraz, kiedy inne są nagie. Bardzo proste i wysokie stoją sosny. Pień ich gładki, dopiero gdzieś w górze widać gałęzie o czerwonej korze, drobne gałązki i na nich wreszcie gęstą zieloność igieł. Znacie już dobrze sosnę z letnich spacerów po lesie, kiedy w słońcu pachniała żywica, ale teraz, kiedy już zima, inaczej na nie patrzymy. Teraz widzicie, że ona niema liści, takich jak lipa, czy brzoza, ale zamiast nich długie zielone igiełki. Te igły to są właściwie także liście, tylko inne, bardzo wytrzymałe, tak że nie opadają co jesień, ale mogą żyć parę lat. Ale wkońcu także potrochu opadają, widzicie jak tu pod drzewem leży dużo zeschłych bronzowych igiełek? A w lesie sosnowym wszędzie ich pełno.

A nasiona sosny, to wiecie napewno gdzie dojrzewają zanim opadną na ziemię? Znacie szyszki, i te twarde zielone, lepiące się od żywicy, jeszcze młode i niedojrzałe, i te bronzowe otwierające się z cichym trzaskiem, kiedy przygrzeje czerwcowe słońce. Z dojrzałych szyszek wypadają lekkie nasionka i wiatr je niesie i rozsiewa. Z takiego nasionka wyrasta mała zabawna sosenka, w pierwszym roku nie większa od palca, cała z pęczka miękkich, zielonych igiełek.

Sosenka rośnie dosyć prędko, co roku młode igły przyrastają na końcu gałązek, ale dużo lat upłynie zanim wyrośnie w taką, jak ta tutaj, sosnę.

Sosny w lesie rosną zwykle blisko siebie i jedna przez drugą wyciągają się prosto w górę, ale jak sosna rośnie gdzieś sama, to od wiatru powygina się w różne strony i zupełnie inaczej wygląda. A wysoko w górach, tam, gdzie zaczynają się skały, rośnie taka sosna górska, mocna, wytrzymała, ażeby bronić się od górskiego wichru pnie się prawie po ziemi rosochatemi powykręcanemi gałęziami.

Sosna to drzewo co wiele dla siebie nie potrzebuje, rośnie na żółtym, suchym piasku, gdzie nic się nie urodzi, a bardzo jest pożyteczna, drzewo jej idzie na budowę, na proste stoły, ławki, szafy i na opał do pieca, gdzie pali się jasnym, wesołym ogniem. I zawsze jest zielona, czy to gorące lato, czy zima.

Ale nietylko sosna jest zawsze zielona. Pójdziemy teraz poszukać, gdzie rosną w parku duże śliczne świerki.

Mają także igły na gałązkach, ale inne, krótkie i twarde, a i całe drzewo zupełnie inaczej wygląda. Pień też jest prosty, pokryty korą, jak łuską, ale gałęzie rosną od samego dołu na wszystkie strony, niżej rozkładają się szeroko, a im wyżej, tem węziej, aż wreszcie u góry wyrasta pojedyńczy, prosty wierzchołek.

I szyszki ma inne świerk, patrzcie jak ślicznie zwisają tam w górze, długie i złociste, o miękkich łuskach Przyjemnie znaleźć taką ładną szyszkę, kiedy przyjdzie jej chętka upaść na ziemię.

Świerki rosną też u nas całemi lasami, ale najwięcej w górach, nie tak bardzo wysoka, jak ta odważna sosna górska, ale potrafią także mocnemi korzeniami uchwycić się skały, a jak przyleci mocny wicher, co się nazywa halny, tylko ugną się wszystkie w jedną stronę, ale tak łatwo złamać się nie dadzą.

Świerk jest pięknem drzewem, dlatego sadzą go wszędzie po parkach i ogrodach i nietylko świerki zwyczajne ,ale różne ozdobne, jak te o niebieskawych ślicznych igłach, które wam pokazywałam. A jak pięknie wyglądają szerokie, świerkowe łapy, kiedy je grubo okryje puszysty biały śnieg. Taka choinka w słoneczny dzień najładniejsza jest ze wszystkich.

I sosna i świerk i jeszcze jałowiec, który widywaliście w lesie na piaszczystych wzgórkach, to są drzewa nazwane iglastemi, od tych zawsze zielonych igiełek, a tamte, co potraciły jesienią liście to są drzewa liściaste.

I o jednych i o drugich wiemy już potrochu i będą to nasi znajomi teraz, kiedy będziemy je spotykać na spacerze.

J. Brzósko-Guderska.

